Nr. 16. We Lwowie dnia 17. kwietnia 1898. Rok 6.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki Kurjera Lwowskiego

pod kierownictwem Bolesława Wysloucha.

Z pobytu Władysława Żeleńskiego w Pradze.

WSPOMNIENIE Z R. 1860 — 1.

skreślił

Łukasz Wielkopolanin.

(Ciąg dalszy.)

Pisał niedawno do mnie, ale to wszystko duby były smalone, o formowaniu się szlachty instytucjami korespondentów — rozumiesz co z tego? (Żeleński nie wiedział, że to była organizacja „białych“ — przypisek Łuk.) chciał pokazać, jak głębokie ma poglądy na stan polityki w naszym kraju. Najlepszem było, iż kazał sobie sprowadzić z Pragi kule do ćwiczeń, jakby takich nie dostał byle gdzie, a wtedy i transport nie kosztował by od rzeczy tak ciężkiej, a przytem tak mało wartującej. To już korona głupstwa młodzieży szlacheckiej. Tak więc dałem Ci wiadomość o naszem pożyciu w Pradze i o dawnych naszych weteranach. Zapomniałem jeszcze o kochanym Zenonie Pułkowniku; bawi na Ukrainie, gdzie objął zatrudnienie przy cukrowni.

19. 2. 62. Przerwany list mój, dziś dopiero uzupełniam, wiele jeszcze mam Ci do powiedzenia, drogi Łukaszu. Najprzód o sobie, co do mego zawodu muzycznego. Zmieniłem projekt jechania do Paryża na r. przyszły, natomiast mam pozostać jeszcze w Pradze, w czem daleko więcej widzę korzyści dla siebie. Tu już myślę ukończyć zupełnie studja z moim szanownym nauczycielem Krejczim, który — rzec mogę — całą duszą i sercem udziela mi swej obfitej wiedzy muzycznej. Kto wie, możebyśmy się zobaczyli ze sobą, gdybyś zatęsknił za Pragą po nudach berlińskich.

Po ukończonych studjach mam pozostać jakiś czas w kraju. najprędzej w Krakowie, w którym samodzielnie wyrabiać będę ducha mego kompozytorskiego, poczem udam się za granicę, chcąc dobić się wawrzynów, jako skończony artysta, zanim przyjdzie chwila stosowna poświęcić pracę swą ojczyznie na drodze pedagogicznej... Porodów miałem kilka niezbyt ciężkich, bo to dzieci na mniejszą skalę. Uzupełniam zbiór pieśni z Królodworskiego rękopismu, układam chór męzki na słowa Wasilewskiego „Pieśń żeglarzy“, twoja to najulubieńsza poezja. Wallenrod śpi. Dzieło to nie tak prędko ukaże się na horyzoncie; nie życzyłbym sobie, aby syn pierworodny z mych większych dzieci przyszedł na świat kulawy albo garbaty. Jeszcze trzeba będzie z kilka lat płód ponosić w żywocie mej mózgownicy. Przyjeżdżaj do mnie, Łukaszu, będziesz miał co słuchać. Do tego czasu spodziewam się, iż które z dzieł moich wyjdzie na jaw, będę więc miał rozkosz doręczyć ci osobiście moje prace byś je zachował, jako od twego najszczerszego przyjaciela. — Rygorozum moje z historji zdaję 24 Marca, poczem odbędę promocją doktorską. Oby jak najprędzej nadeszła ta chwila, abym wiernym był kochankiem mej Muzy. Przedmioty jednak, jak historja powszechna, a mianowicie ojczysta i literatura, do tego filozofja i estetyka będą nieodstępnemi jej towarzyszkami bez nich artysty nie pojmuję. Masz więc, Łukaszu, całe curriculum vitae od czasu naszego niewidzenia. Pisz że do mnie, jak najprędzej, abym był pewien. iż o mnie pamiętasz, że Ci kapelmistrz z jego tonami nie wywietrzał zupełnie z pamięci. Bywaj więc zdrów na prawdę, kończę słowami Wasilewskiego: „Wesoło żeglujmy, wesoło! Po życia burzliwym potoku“ etc. Twój kochający Cię muzyk, organista, towarzysz i przyjaciel. W. Żeleński.

Posyłam Ci tegoroczną fotografję, a proszę Cię o przysłanie Twojej, której nie posiadam dotąd — prócz przebrzydłej panotypji przeszłorocznej, to zaś cała grupa, a ja żądam osobnego portretu do albumu.

22. 9. 62. List Twój, kochany Łukaszu, uderzył, jak grom potężny, w przeszłym tygodniu we mnie tuż po powrocie z wycieczki do Tarnowa, w którym kilka dni spędziłem w towarzystwie owdowiałego Hołyńskiego. Prędzej

czy później spodziewałem się ataku z twej strony za moje uporczywe milczenie; lepiej jednak, żeś na mnie uderzył, obudził z letargu, aniżeli żebyś zagniewany miał mię opuścić. W przeszłym liście niemałego sęka wbiłeś w mą głowę, prosiłeś mnie o przysłanie Ci kompozycji na słowa Wasilewskiego „wesoło żeglujmy, wesoło", jest to ułożone na chór 4-o głosowy, Tyś chciał melodji z fortepjanem. Ułożenie tego jest prawie niepodobnem bez uszkodzenia kompletnego całości; myślałem długo nad tem jakby zrobić, by wilk został sytym, a owca całą, szczęśliwie minęło miesięcy kilka od czasu listu Twego z Berlina. Za naszem widzeniem się w Krakowie będę się starał naprawić złe, wręczając Ci egzemplarz pieśni do słów z Królodworskiego rękopismu, w których pomiędzy innemi pamiętna „kukułka". Są to jeszcze pieśni nadziei, szczęścia przyszłego, czasem gdzie niegdzie zawyje akord zwątpienia, po małych chmurach jednak horyzont znów się rozjaśnia. Jest w nich coś nieoznaczonego, symbolicznie powiedzianego, zgodnie z mem dotychczasowem postępowaniem... List twój jednak, drogi Łukaszu, odczytuję często, dla tego nie łudzę się marzeniami; jedynem marzeniem, któremu pozwalam miotać mną na wsze strony jest i będzie sztuka, w niej i przez nią kocham ojczyznę, czuję siłę do czynu i poświęcenia. Znalazłem wprawdzie ludzi podobnych, którym to nader dziwnie brzmiało, aby ktoś mógł kochać Polskę w akordach; patrzyli i słuchali mnie jakby jakiego półwarjata i dziwaka, oraz uważali za zimnego i nieczułego na cały bieg okoliczności. Cóż robić, któż dogodzi wszystkim ludziom; trzeba tych puścić mimochodem, a samemu śmiało iść raz wytkniętą drogą. Tyle wiem, iż w Tobie mam zwolennika, Tyś mię rozumiał, Tyś dodawał otuchy do zostania na drodze przeznaczonej mi wyrokiem wyższej władzy, a nie wymagałeś rzeczy odemnie, na które zdobyćbym się nie potrafił bez zwichnięcia całego mego życia przyszłego; dość mi tego, jeden przyjaciel za stu nieprzyjaciół obstoi dla mnie, w Twe słowa: „nie opuszczaj tej kochanki" wierzę, staną się one dla mnie zasadą życia. Wielkie dzieła wyjdą kiedyś z pod pióra mego, niktby ich nie poczuł, nie ujął w ręką silną, nie nadał im ciała; ja do tego jestem powołanym, to zdziałam, poruszę tem wszystkie nerwy skrzepłego życia narodu; poeci działają na rozum, serce i uczucie, lecz jeszcze wszystko to w skrzepłej skorupie; trzeba puścić kilka akordów, które jak iskra elektryczna rozbudzą życie i przyprowadzą do ruchu zamarłe ciało. Dzisiejsza nasza muzyka ma materjały nieskoncentrowane jeszcze, potęga jakiegoś talentu winna rozdzielić znoszące się czynniki i wywołać każdy z nich do życia osobnego, do działania w swojej sferze. Dużo czasu do tego momentu przeminie, ale kiedyś przyjdzie i do tego, nadziei tracić nie trzeba. Rozgadałem się z Tobą, kończę już, zresztą zobaczymy się niedługo, będziemy też gwarzyli aż miło. Stew..., o tym jeszcze wspomnę na zakończenie, jakoś się bierze do pracy, ojciec jego popłacił grzechy pieniężne, młody pracował jakiś czas we fabryce, jako kowal, musiał jednak przerwać dobre zamysły dla słabości fizycznej. Przyjmij, kochany Łukaszu, serdeczne uściśnienie przyjacielskie od Twego kapelmistrza W. Żeleńskiego.

Ostatni list, który tu umieszczam, pisany był w 16 lat później. O ile z poprzedniego bije gorącą falą zapał i rozmiłowanie w sztuce, śmiałość, zuchowatość, pewność siebie i wiara w wielkie bogactwo swych zdolności, o tyle w następującym widnieje chłodna ocena siebie, krytyka, a nawet czuć pewne zwątpienie, na szczęście, jak przyszłość dowiodła, całkiem nieuzasadnione. Tam był Żeleński młodzieńcem, tu mężem dojrzałym.

(D. n.)

SYMFONJA SWIATŁA

przez

Walerję Marrené.

Wszyscy nazywali Adrjana warjatem. Musiał nim być, bo inaczej czyżby zdolny uczeń ósmej klasy pokłócił się z profesorem przyrody, i o co jeszcze, o mikroby i to pokłócił się w sposób tak mało parlamentarny, że wydalono go ze szkoły. Trzeba być na to czystym warjatem, bo cóż mu szkodziły przekonania profesora? mógł przecież nie dbać o nie po za szkołą, nie wszczynając niepotrzebnej dysputy, chociażby nawet miał sto razy słuszność! Wiadomo przecież, że profesorom mylić się wolno.

Adrjan szkoły nie żałował, dusił się wprost w ciasnej sali, a kiedy w południe promyk słońca wsuwał się jak intruz do klasy, on musiał śledzić jego wędrówkę, chociażby nie chciał nawet i zamiast słuchać wykładu musiał się przypatrywać, jak koleją przedmioty zabarwiały się pod jego dotknięciem, ciemne sukno mundurów mieniło się błękitem, promieniami strzelały metalowe guziki, włosy Józia Hulickiego zapałały się czerwonym blaskiem, a głowa Jasia Borskiego opływała złotem. Musiał patrzeć, jak w powietrzu słup światła drgał, wibrował mirjadami pylinek.

Przytem z różnemi naukami był w najgorszych stosunkach. Matematyki nie cierpiał, sam widok wykreślonych linji i trójkątów po-

budzał go do ziewania. Geografji nigdy nie mógł spamiętać. Na historję miał swój odrębny pogląd, w literaturze jego gusta były wprost przeciwne gustom profesora. Wirgiljusz nudził go śmiertelnie, a wśród najczulszych scen Racine'a lub Corneille'a napadał go śmiech serdeczny. Umiał też wybornie parodjować przekleństwa Kamili, żale Andromaki i to wszystko, czem się każdy dobry uczeń zachwycać winien. Pomimo to, dzięki wyjątkowym zdolnościom, doszedł do ósmej klasy i byłby pewnie dostał maturę, gdyby nie owa katastrofa z przyrodnikiem.

To powinno było dać mu do myślenia. Sierota i ubogi, mógł tylko rachować na własne siły. Szczupły fundusz, jaki został po rodzicach, pozwalał mu zaledwie skończyć szkoły i dawał jaką taką zapomogę do uniwersytetu. Tak rozporządził przed śmiercią ojciec Adrjana, który chciał, by syn jego był doktorem, adwokatem lub czemś podobnem. Wprawdzie miał on w sperandzie wielki majątek pani Agnieszki Soliczewskiej, swej stryjecznej babki, której był jedynym spadkobiercą, ale taką sperandą nikt żyć nie może.

Panią Agnieszkę znał nie wiele; była niemożliwie stara, niemożliwie bogata i niemożliwie skąpa, rodzony jej, a do tego jedyny siostrzeniec, ojciec Adrjana, zapracował się, zagryzł, a ona nigdy mu nie dopomogła.

— Po mojej śmierci — mówiła zawsze płaczliwym głosem, gdy w jakiej potrzebie udawał się do niej — po mojej śmierci wszystko będzie twoje.

Żyła w ciasnem mieszkaniu, sama sobie wszystkiego żałując, z dwoma hałaśliwemi szpicami i starą panną służącą Leontyną, która jednak, jak mówiono, pomimo skąpstwa swej pani, uciułała sobie przy niej mająteczek.

Ojciec Adrjana nigdy ciotce śmierci nie życzył.

— Niech żyje zdrowa — szeptał — mój syn będzie kiedyś szczęśliwy.

Adrjan o tem szczęściu nie myślał. Szczęście w jego młodej wyobraźni nie było wcale podobne do babci Soliczewskiej, ani nawet do jej majątku. Szczęście to miało lat szesnaście, niebieskie oczy, różową buzię i nazywało się Zosia, zwyczajnie, jak szczęście takiego warjata, jak Adrjan.

Naturalnie, Zosia nie była bogatą, ot sobie prosta dziewczyna, córka praczki, chodziła do jakieś szwalni, czy kwiaciarni w charakterze uczenicy. Zajęcie to nie przynosiło jej wprawdzie marnej monety, ale za to rzeczy daleko szacowniejsze — świetne nadzieje Zosia marzyła o takiej przyszłości, w której brałaby może, dziesięć, może dwanaście, a kto wie może nawet piętnaście rubli miesięcznie. Z takiemi nadziejami łatwo pocieszać się w biedzie, nosić dziurawe buciki, a czasem nie mieć ich wcale. Brak żaden nie psuł humoru Zosi, jak nie psuło go Adrjanowi wydalenie ze szkół. Od bardzo dawna odbiegł od marzeń ojcowskich, prawo ani medycyna nie miały dla niego uroku. Poczuł w sobie powołanie artystyczne, gdy poznał się z młodym malarzem. Widząc farby, pendzle, palety, odrazu zrozumiał, gdzie jego droga. Niedarmo barwy, promieniem słońca wywołane, zajmowały go całemi godzinami.

Ot i lepiej, że wydalono go ze szkół, nie będzie w nich tracił daremnie czasu, zostanie malarzem sławnym, wielkim, ożeni się z Zosią i będzie przez całe życie robił tylko to, co chce, i malował, co mu się podoba. Na początek zapisał się do szkoły rysunkowej, kreślił postać Zosi w najrozmaitszych pozach i, jak ona, zaczął żyć nadziejami.

W nadziejach jego nie było może przesady; talent miał, mówił to nauczyciel, mówili koledzy, a co najważniejsza, czuł to sam. Ale kto kiedy samym talentem doszedł do wielkości? Każdy wie, że potrzeba na to reklamy, protekcji, nawet blagi, o których to rzeczach Adrjan nic nie wiedział. On miał tylko tę iskrę świętą, co przetwarza przedmioty, pozwala dostrzedz ich wyraz, ich charakter. Barwy przemawiały do niego, jak dźwięki do ucha, harmonja ich napełniała go rozkoszą. Światło rozkładało się w jego oczach na żywe kolory, tworzyło symfonję, niby dźwięki różnorodnych instrumentów muzycznych, chwytał je wzrokiem, rozumiał i usiłował odtworzyć farbami, chociaż te zdawały mu się zawsze martwe i blade wobec natury.

Nieraz budziła go w nocy myśl jakiej nowej kombinacji, któraby dała efekt pożądany, i czekał niecierpliwie świtu, ażeby jej próbować. Bo już to w malarstwie, jak we wszystkich innych przedmiotach, miał własne poglądy i jak w szkole nie pytał o zdanie nauczycieli, tak i tu musiał wszystko robić po swojemu. Była to natura niepoprawna. Z takich ludzi przy odpowiednich warunkach wyrabiają się wielcy mistrze. On byłby może stał się mistrzem; gdyby mógł żyć, jak lilje polne i ptaki niebieskie, ale niestety! spadek rodzicielski wyczerpywał się z każdym dniem, chociaż doprawdy zbytków nie robił. Jego zbytkiem jedynym były pendzle, płótna, farby, farby nadewszystko: co on ich napsuł na niemożliwe kombinacje; Zosi nawet rzadko bardzo kupił jaki gałganek, ale za to przygotowywał jej wspaniałe apartamenty w gmachu przyszłości.

Tak przeszły dwa lata. Stary emeryt opiekun Adrjana, wręczył mu ostatnią dziesięciorublówkę i szczegółowe rachunki z ojcowskiej puścizny, mówiąc:

— Teraz już jesteś człowiekiem, dasz sobie radę.

Adrjan emeryta uściskał, rachunki ku wielkiemu jego zgorszeniu rzucił na stół, nie

spojrzawszy, banknot schował do kieszeni i wyszedł, pogwizdując.

Jużcić radę sobie dać musiał, ale jak? Naturalnie trzeba było korzystać z talentu. Dotąd robił tylko szkice, teraz postanowił wymalować obraz. Szkiców miał pełną tekę, pomysłów pełną głowę, należało tylko wybrać. Wybrał wiosenny krajobraz i z góry dał mu tytuł „Symfonja światła". Żyzna mazowiecka równina, pełna zbóż rozmaitych, tworzyła całą gamę zieleni, od ciemnej naci kartofli aż do jasno zarunionego jęczmienia i łanu kwitnącego, jak złoto, rzepaku. Na błękicie była jedna tylko biała chmurka i cień swój słała na część pól, czyniąc przez kontrast żywszem światło, zalewające równinę. Światło to drgało życiem, wibrowało, płonęło, roznosząc w powietrzu zdrową woń młodej roślinności i miodowy zapach rzepakowego kwiatu, które zdawały się z płótna wydzielać. On czuł je, malując, on wciągał w piersi fale powietrza, przepływającego swobodnie, które zginało srebrne świeżo wykłoszone żyto, delikatne pióra ciemno-szmaragdowej pszenicy i seledynowego owsa, rozjaśnionego jeszcze bielą rumianków. A wśród tego kobierca błyszczała czerwień maków i szafir bławatów.

Rzucił szkołę, rzucił nawet Zosię i przez parę tygodni wałęsał się po polach, rozstawiał sztalugi na miedzach i dróżkach, pracował od świtu do nocy, śpiąc w stodołach wieśniaczych, żywiąc się mlekiem i czarnym chlebem.

Uczynił, co mógł. Może nie sprostał naturze, ale włożył w obraz całą szczerość swego zapału, całą trafność spojrzenia, całą technikę, jaką rozporządzał.

Koledzy zdziwili się, zobaczywszy płótno. Było w niem coś nowego, świeżego, indywidualność artysty napiętnowała naturę własną odrębnością. Oryginalność jednak na świecie nie popłaca. Ten i ów chwalił półgębkiem, czekali zdania swego mistrza — tak przez grzeczność zwano nauczyciela, chociaż jego sława nie wychodziła po za obrąb Warszawy, a mistrzostwo było arcyproblematyczne. On sam przecież miał siebie za mistrza.

Tego rodzaju ludzie nie lubią oryginalności. Gdzieżbyśmy doszli ostatecznie, gdyby uczniowie słuchali własnego impulsu? Na cóż w takim razie szkoła, nadewszystko na co mistrz?

Adrjan z bijącem sercem pokazał mu obraz.

— Cóż to za półmisek szpinaku! — zawołał pogardliwie — proszę, proszę, nawet dla większego podobieństwa obłożyłeś go omlecikiem.

Nazwał w ten sposób kwitnący rzepak.

Obraz odrazu zrobił fiasco. Nie przyjęto go na wystawę.

Koledzy, Adrjanowi życzliwi, robili mu różne uwagi, dawali rady, stawiali, jako wzór, porządne krajobrazy, na których była krówka, chłopak i dziewczyna, albo przynajmniej chata i grupa drzew. Adrjan mógł tu wprawdzie wymalować Zosię, ale to już byłoby co innego. Dobił go ten szpinak.

Wszyscy nazywali jego płótno szpinakiem, radzili, ażeby przyciemnił barwy. Adrjan zabijał się, dowodząc, że taką jest natura, ofiarował przekonać o tem kolegów, byle w dzień słoneczny poszli z nim za miasto. Oni przekonać się o tem nie chcieli, bo cóż by im z tego przyszło? „Symfonja światła" była odsądzona od prawa bytu, wziął ją więc i odniósł na poddasze, które służyło mu za pracownię, postawił na sztaludze, a sam rzucił się na tapczan. Rozmyślania jego nie były wesołe. Pięknie dał sobie radę. Emeryt srodze się omylił, nazywając go człowiekiem.

Z ostatniej dziesięciorublówki zostało zaledwie parę groszy. Zkąd teraz wziąć na płótno, na farby, na chleb wreszcie? A może oni wszyscy mieli słuszność, może dobrze radzili, może, chcąc oddać wielką symfonję światła, namalował tylko zieleń szpinaku? Może tylko łudził swą nieudolność, nie umiał ani patrzeć, ani tworzyć?

Ne tę myśl samą, ogarniało go szaleństwo, brakowało tchu w piersiach.

Zerwał się szukając powietrza. I nagle, w pomroce zapadającego wieczoru, zaświeciło mu coś, jakby promień słońca, uczuł, jakby ogarnęła go fala światłości. Obraz stał na sztaludze i jaśniał w ostatnich blaskach dnia.

(C. d. n.)

Sporne terytorja.

(Dokonczenie).

Najwspanialsza epopeja tatrzańska o królu wężów znakomicie uwieczniła w pamięci ludowej to stopniowe od północy posuwanie się białej czuhy i zawładnięcie przez nią obszarów karpackich w posiadanie. Zestawmy główne jej momenta. Nad obszarami tymi panem zwierzchniczym jest o półmilowej długości wąż, okryty łuską srebrną, z koroną djamentową na głowie, czołgający się po wierchach i turniach tatrzańskich. Napisano mu takie prawo:*) „Będziesz się czołgał po wierchach tatrzańskich. Patrz ztamtąd na świat: gdzie tylko wzrok twój będzie mógł odróżnić na człowieku białą od burej guńki (czuhy), to wszystko twoje póki

*) Warjant „O Perłowiczu" Kaz. Łapczyńskiego.

się nie znajdzie taki co cię zwojuje." Czuhy białe były już na Powislu wdzierżawach krakowskiego króla Wyporka i jego najbliższych następców. Między temi dzierżawami a siedliskiem króla wężów siedziały i hołdowały mu pół ludzkie, pół nadprzyrodzone istoty: spokojniejsi — królowie leśni i bardziej wojowniczy spiący w jaskiniach rycerze, potomkowie niesfornych olbrzymów, którzy za przywłaszczanie dzierżaw wyporkowych częścią zamienieni zostali w paczwy (poczwary) i smoki, częścią zaś uśpieni w jaskiniach. W skutek przeludnienia i prawa dzwonów krakowskich ruszała się ludność ku południu: pierwszy Szymek syn Marcinów twórca krótkiej czuhy i kierpców góralskich, puścił się w góry i zdobywszy czarne pszczoły, założył Miodziuś szczawnicki. W ślad za nim ciągnęli z Powiśla ludzie podkasani, w kierpcach, składali dań królom leśnym i osiadali coraz wyżej ku Tatrom.

Za czasów Kasi, wnuczki Szymkowej, Ożóg niebacznie zapuściwszy się najwyżej i ściągnąwszy na się wejrzenie króla wężów, sprowadził na osadników napad hołdowników wężowych — owych śpiących w jaskiniach rycerzy. Ci wybrawszy najpiękniejsze dziewki osadników na pożarcie smokom, spowodowali powszene a rychłe kojarzenie się stadeł: każde dziewczę, wolało wyjść za mąż za pierwszego lepszego parobka, niż dostać się potworom. Syn Kasi i Jasia (obojga pasterzy) Perłowicz jako dziecię poczęte pod działaniem perły cudownej, obdarzony zmyślnością, odwagą i siłą, zapuścił się pod Czorsztynem jeszcze wyżej od Ożoga w góry za Białką i Bukowiną, pokonał najpierw Wołoszyna człowieka — potwora, trzymającego straż królestwa wężowego, a następnie stoczył walkę z samym królem wężem, zawładnąwszy poprzednio rybami stawu Rybiego (nazwanego później przez Panow Morskiem Okiem). Pierwszy bój wypadł pod Mnichem, drugi pod Czerwonym Wierchem, tak nazwanym od przelanej krwi króla wężowego, a trzeci po za doliną kościeliską, w następnej, gdzie się wąż zakopał w ziemię i zniknął.

To miejsce zowie się Zakopane.

Między pustyniami śródziemnomorskiemi ojczyzną szczepów semickich a nizinami rolnemi i stepowemi, kolebką szczepów aryjskich i ałtajskofińskich rozciągający się pas ziemi górzystej z najwydatniejszą jej połacią — Karpatami — jest geologicznie i tektonicznie tak zamkniętą w sobie całkością że pierwsza gromada ludzka, która tu znalazła ojczyznę swoją, jeśli tylko była uspołecznioną i posiadała siłę rozwoju społecznego i szczepowego, musiała nie tylko sama wyodrębnić się pomiędzy owemi szczepami północnymi a południowymi, ale i pozostawić podstawy pewnych pierwotnych znamion typowych dla następców swoich, choćby różnych szczepowo, ale znajdujących karm dla utrzymania i rozwoju onych znamion typowych w odrębnych warunkach otaczającej natury.

Historja wskazać może tylko dwie takie gromady, które zajęły Karpaty w posiadanie: szczepy trackie i słowiańskie. Trakowie byli pierwszymi, po nich więc musiała najdawniej pozostać ta spójność i spólność typu duchowego, której po tysiącach lat słabym tylko refleksem było zbójnictwo, pod sztandarami którego zarówno kupili się orawiacy i liptowiacy z podhalanami i spiżakami na zachodzie, a bojkowie z wołochami na wschodzie. Wszakże szczepy ich przesuwały się tędy i zostawały tu przez wieki całe. A byłto lud tylko pasterski i wojowniczy. Gdy mu za ciasno było w Karpatach, ustępował sam powoli w Bałkany i ku Małej Azji, a miejsce jego zajmował nadciągający szczep słowiański, który bądź w walce bądź pokojowo mieszał się z pozostałymi w Karpatach resztkami trackimi. Za reminiscencje tych walk i tych resztek uważam ślady królów leśnych i rycerzy jaskiniowych i paczwy, oraz boje z niemi rolnych Słowian w epopei tatrzańskiej.

Ś. p. Godfryd Ossowski w wykopaliskach w Magórze, Kościeliskach i wogóle tatrzańskich, znajdował z kamienia naciekowego i kości kopalnej wyroby jaskiniowe jak w pasie krakowskim, świadczące o zaludnieniu tych stron wstecz o wiele tysięcy lat. Trakowie musieli zastać tych jaskiniowców, lub bezpośrednio po nich nastąpić. Pamięć ludowa nie tylko mogła zlać te dwie epoki, jaskiniową i tracką, w jedno, ale nawet pozostać wierną każdej z nich, wszak Troglodyci byli Getami a więc szczepowości trackiej. Ta cudowna, prześliczna gra króla leśnego na złotych gęślach przed ogniskiem Szymka, które szlochały skargą, gniewem, szumem buków i łuną boru całego — przypomina Arystotelesową wiadomość o trackich Agathyrsach, którzy ustawy swoje pieśniami przekazywali pamięci potomnych, a między luźnością związków małżeńskich u tychże Agathyrsów lub wolnością nawiązywania stosunków miłośnych z dziewczętami u ogółu Traków a porywaniem dziewcząt przez rycerzy jaskiniowych, zdaje się być pewna łączność. Posuwanie się więc czuh białych*) w Karpaty i zawładnięcie niemi odniósłbym stanowczo do epoki trackiej. Nazwałbym ją pra-aryjską, jak znów zbójnickiej dałbym miano orawskiej, której charakter tracki wzmocniły wędrówki pastuchów dackich (wołochów) w Karpaty w XI. i XII. wieku**)

---

*) = „pelliti" Bessowie i Getowie.

**) Potomków mieszańców wschodnio-romańsko-dackich, a więc także krwi zasadniczej trackiej.

P. Zawiliński podaje nader ważny w oczach moich szczegół zwyczajowo-obrzędowy ze Skalitego:

„Kiedy po północy (w wigilją Bożego Narodzenia) przyjdą z kościoła, a chce się komu moczyć, to ten mocz chowają jako lekarstwo zewnętrzne, jeżeli „statek żaba łamie“ i kiedy „statek“ pierwszy raz na pole wyganiają, te go tym moczem kropią, aby był wolny od „uroku“. Zowie się on „godnim-moczem“, jako w G o d y (t. j. B. Nar.) uzbierany.

Jabym w tem widział również pozostałość epoki pra-aryjskiej. Wiadomo, że mocz wogóle, a krowi w szczególności odegrywał rolę pierwszorzędną w mazdeizmie zoroastrowym jako najważniejszy środek religijno - djetetyczny, oczyszczający ciało i duszę człowieka.

Do epoki prasłowiańskiej mamy na terenie górskim między skalickiem a Podhalem taki ważny przyczynek szczątkowy jak urządzenia (wiecowe, sądy własne i wspólne władanie) w Sizynie pod Babią górą, na co już był zwrócił uwagę W. A. Maciejowski i W. Pol. A tak wszędzie w całym pasie karpackim być musiało, gdzie po władztwie trackiem nastało słowiańskie. Na nim więc zastała tę ludność epoka późniejsza — wyrobu i wyodrębnienia się tudzież rozwoju oddzielnych plemion i narodowości słowiańskich. Tam więc gdzie zastała ona zarodki właściwości słowackich — rozwinął się żywioł słowacko-morawski, gdzie lechicko-polskie — polski. Pierwszy sięgnął od południa do dolnego Wagu na zachodzie i niemal do wierzchowin Popradu na wschodzie, czyli zajął południowe części Trenczyna, Liptowa i Spiża; drugi zaś — po za granicami Galicji — dotarł od północy na południe po za źródła Wisły i objął Kisucę, na zachodzie, zaś porzecze Dunajca i Popradu na wschodzie, czyli północną część Trenczyna i północny tudzież środkowy Spiż. Tak te plemiona i narodowości rozmieściły naturalne warunki orograficzne. Natomiast wschodni Trenczyn, cała Orawa, północny Liptów i południowy Spiż, t. j. obszar, obejmujący główny trzon tatrzański po środku oraz jego odnogi południowe na zachodzie i wschodzie nigdy nie wykazały ludności czystego plemienia słowackiego lub polskiego; wyrobiła ona własny odrębny typ góralski na pniu epoki praaryjskiej i prasłowiańskiej, wzmagany refleksami słowackimi od południa, polskimi od północy. (Dwa różne typy fizyczne spotykane u górali zdają się wskazywać trackie i słowiańskie pochodzenie). Nawzajem ta odrębna głównego obszaru trzonowego góralszczyzna promieniowała na wsze strony ku obszarom czysto polskim i czysto słowackim, zabarwiając je słabiej lub mocniej swemi właściwościami. Jeśli czysto typowe tej lub innej narodowości wyspy powstawały na tem morzu góralskim, to były sporadyczne i dziełem późniejszem, tak samo jak np. Osturnia ruska na Spiżu polskim i najczęściej zalewane były tem morzem. Dzisiejszy, odmiennych skutków odpływ słowaczyzny z południa na północ jest bardzo rzadkiem w dziejach zjawiskiem i przypomina refleks Traków frygijskich. Wędrówki ludów północnych odbywały się zawsze w kierunku południowym. Słowacy, wchodząc w owe obszary górskie, jrż sięgnęli po zaniedbane i zapomniane przez Polskę w okupacji węgierskiej okręgi lechickie w skalickiem i na Spiżu, a między niemi położone zajęli c o n f i n i a c o n t r o v e r s a.

Jan Grz.

SOCJOLOGJA.

II.

Fakta socjologji.

(Ciąg dalszy).

Społeczeństwo jest to połączenie wielu osobników w celu wspólnego wykonywania pewnej funkcji. A zatem społeczne zjawiska mają swe źródło we wzajemnych stosunkach między ludźmi Twory społeczne to jednak nie czyste pojęcia stosunku, abstrakcje tylko, a istności realne. Posiadają one funkcje samodzielne, odrębne od funkcji osobników, które te społeczeństwa tworzą, po większej części dla tych indywiduów nieświadome i często niepojęte.

Związek biologiczny występuje jeszcze wyraziściej w społeczeństwach zwierzęcych (np. u hymenopterae), gdzie, pomimo fizjologicznej samodzielności osobników i rozwiniętego podziału pracy, w wykonywaniu funkcyi wspólnych panuje prawie wyłącznie akcja kolektywna, a pod względem socjalnym mamy tu do czynienia z tworami o mało co wyżej stojącymi od składowych części czysto biologicznego indywiduum (np. gąbki).

Z rozwojem społecznego agregatu wzrasta, rozumie się, t. j. wyraziściej występuje, zazwyczaj indywidualne znaczenie pierwiastków wchodzących w skład społeczeństwa, chociaż samo społeczeństwo nie traci nigdy swego biologicznego charakteru, jak o tem świadczy odkryta przez statystykę prawidłowość w objawach życia mas, nawet u najbardziej cywilizowanych i najwolniejszych narodów. Twory socjalne są to zatem osobniki biologiczne wyższego rzędu, ale właśnie dlatego są one zjawiskami snugeneris, nie dającemi się pojąć w drodze prostej

analogji. Jako twory naturalne podlegają one wszechwładnym prawom i siłom natury, które jednak, ponieważ chodzi tu o istności *sui generis*, zgodnie ze zmienionym charakterem stosunków, objawiają się jako siły socjalne i socjalne prawa.

Każdy twór socjalny musi, jako naturalnie powstała forma, rozwijać się, powstawać, zmieniać i znikać *(prawo epigenezy i determinacji.)* Rozwój ten (w znaczeniu postępu na drodze ku większej objętości, silniejszej spoistości, wielopostaciowości i większej określoności) jest, jak na wszelkich polach, prawidłowy i perjodyczny. Nie jest on jednak ani równoczesny (t. j. w jednym i tym samym czasie ogarniający równomiernie całe społeczeństwo), ani też dla każdego społeczeństwa bezgraniczny. Przeciwnie, rozwój ten, wychodząc z jednego punktu, idzie po linii najmniejszego oporu tak, że pojedyncze grupy społeczne w rozmaity sposób i w różnym stopniu biorą w tej ewolucji udział, i zatem nierównomiernie się rozwijają. Przystosowanie się do pewnych stopni rozwoju staje się w końcu przeszkodą do przystosowania się do stopni wyższych i — skoro społeczeństwo już osiągnęło pewne stadjum rozwoju — następuje utrwalenie typu, niezdolnego do dalszej ewolucji. *(Prawo bezwładności.)*

Każdy ustrój społeczny wskutek samej swej naturalnej genezy polega na wzajemności *(prawo mutualizmu)*, gdyż wszyscy członkowie łączą się dla wykonywania pewnej wspólnej funkcji, wykonywają ją jednak zawsze w rozmaitym stopniu i z rozmaitem napięciem sił, w miarę swych różnorakich uzdolnień i przystosowania się *(prawo podziału pracy.)*

Zarówno fakt społecznej ewolucyjnej zdolności i bezwładności z jednej strony, jak i społeczny mutualizm i podział pracy z drugiej polegają na wzajemnem na się oddziaływaniu różnorodnych pierwiastków społeczeństwa. Ustroje społeczne są to, jak już wspominaliśmy wyżej, istoty, złożone z pierwiastków jednego wprawdzie gatunku, ale różnorodnych *(prawo złożoności i hetorogenji.)* Wskutek tego zdolność życiowa każdego ciała społecznego zależy od następujących głównych warunków. Przedewszystkiem niezbędną jest pewna równowaga między socjalnym popędem ewolucyjnym i bezwładnością. Jednostronny rozwój którejkolwiek z tych skłonności pociąga za sobą, albo rozkład społeczeństwa, albo jego odrętwienie. Również konieczną jest pewna harmonja między mutualizmem i podziałem pracy, aby nie doznał uszczerbku ani interes pojedynczych osobników, ani całej społeczności. Prócz tego dla każdego agregatu społecznego jest rzeczą nadzwyczaj ważną, żeby jego części składowe pod względem etnicznym nie stały od siebie ani zbyt daleko ani zbyt blisko. Musi tu zatem nastąpić pewien dobór naturalny. Jakkolwiek doniosłą jest przy tworzeniu się społeczeństwa rola przymusu, trwałe jednak stosunki s ołeczne mogą mieć miejsce wówczas dopiero, gdy obok przymusu staje dobór *(prawo doboru.)* Ale doborowi musi towarzyszyć myśl (świadoma lub nieświadoma) i dlatego w rzeczywistości każde społeczeństwo mieć musi pewien ideowy podkład *(prawo psychicznej konstytucji społeczeństwa.)* Jak w naturze instynkt stopniowo przeobraża się w myśl świadomą, tak samo dokonało się zwolna przekształcenie społeczeństw zwierząt i pierwotnych ludzi, społeczeństw, powołanych do życia mocą samego instynktu, na wysoko rozwinięte formy społeczne ludzi kulturnych, oparte w znacznej mierze na świadomości członków społeczeństwa i wyrozumowanych zasadach. Co w społeczeństwach ma formę instynktowej troski o zaspokojenie codziennych potrzeb życia (wspólne szukanie pokarmu, wspólna obrona lub napad) to na wyższym stopniu rozwoju przybiera postać świadomego poczucia związków krwi, wspólności językowej, wspólnej ojczyzny, wspólnych gospodarczych, religijnych, obyczajowych, politycznych itp. zapatrywań. Zawsze jednak momentem uspołeczniającym jest myśl, bądź w postaci instynktowego poczucia bądź też jasnej świadomości wspólnych potrzeb i wspólnych interesów. Nie trzeba jednak owej myśli utożsamiać z ideą, na której spoczywa np. każda assocjacya. Jdeą taką może np. być dążenie do fizycznego i duchowego udoskonalenia, albo inny jakiś cel bliższy lub dalszy. Do osiągnięcia podobnych celów mogą dążyć oddzielne koła społeczne, mniejsze lub większe, ale społeczeństwu, jako takiemu, podobna ogólna idea i świadomość celu jest zupełnie obcą. Takie np. świadome dążenie do doskonałości — gdy mowa o społeczeństwie — musiałoby być w planie nie pojedynczych członków społeczeństwa, a w planie samej natury, co przecież zasadniczo się sprzeciwia naszym poglądom naukowym i naszej spółczesnej wiedzy o przyrodzie. Gdy zatem na wyższych stadjach rozwoju społecznego spotykamy się rzeczywiście z celowem dążeniem do doskonalenia się fizycznego, umysłowego i moralnego, to objaw ten jest wypływem poglądów członków społeczeństwa, nie zaś samego społeczeństwa. Innemi słowy, społeczeństwo nie jest natury moralnej i socjologja, jeżeli pragnie być nauką, musi wszelkie zakusy utożsamienia zagadnień społecznych z etycznemi, jako coś sobie zupełnie obcego, odrzucić.

(C. d. n.)

Nowe książki.

Antoni Lange. — **Studja** z literatury francuskiej. Biblioteka Mrówki. 314—316. Lwów. Nakładem Księgarni polskiej.

Niedawno jeszcze temu nie można było spotkać się nawet w „poważnej" krytyce z nazwiskiem Baudeleire'a, Verlaine'a, Poego i t. d. bez przyczepionej do nich litanji przezwisk, drwinek, wykrzykników oburzenia lub płaskich dowcipów. Mamy nawet kilka dzieł i rozpraw, pióra naszych „najpoważniejszych", będących ekstraktem owych oburzeń — ekstrakt ten miał być lekiem dla dotkniętych „zarazą" oraz straszakiem dla tych którzyby zapragnęli zaznajomić się osobiście z poezją współczesną „zgangrenowanej" Francji..- Ba — nawet laurami przystrajano czoła autorów owych „najpoważniejszych".....

Ale stało się inaczej. Ani Jeske, ani Dębicki ani nawet Łada nie zdołali zatamować wejścia owemu nowatorstwu — coraz bardziej szerzyło się ono wśród naszych pisarzy, coraz więcej konstatować można było owe „zakazane" wpływy na utworach naszych poetów i powoli nowatorstwo to pozostało być nawet nowością...

Nie mieliśmy jednak dotychczas dzieła, któreby bezstronnej ocenie poddało dzieła tych tak nielitościwie ongi zmasakrowanych pisarzy, dopiero, głośny dziś już poeta i krytyk, a zarazem wytrawny znawca literatury francuskiej Antoni Lange, omawianemi „studjami" lukę tę choć w części wypełnił.

W dziełku tem, nie wielkiem rozmiarami ale gruntownem, poddaje on analizie i syntezie krytycznej dzieła Baudelaire'a, Leconte de Lisle'a i Sully Prudhomme'a. Mimo że autor „Studjów" należy do zwolenników omawianych poetów, nie przebija się jednakże z sądów jego wcale ślepe uwielbienie, przeciwnie, bardzo objektywnie, jak na zwolennika, rozpatruje on zasługi, zalety i błędy powyż wymienionych.

Zastanawiając się nad Baudelaire'em wykazuje skąd pochodzi jego pessymizm, wykazuje że jego satanizm jest stanem duszy spragnionej Boga nieznanego, uzasadnia na czem polega jego odrębność *i* dlaczego poezją swą zdołał on stworzyć „nowy dreszcz" w współczesnej literaturze.

Leconte de Lisle'a określa jako barbarzyńcę wtajemniczonego we wszystkie filozofje i kosmogonje natury i sztuki — w temperamencie jego odkrywa dwa pierwiastki: drapieżność i pragnienie nicestwa.

Sully Prudhomme jest znów dla Langego poetą-filozofem i poetą-gentelmanem zarazem. Wiedza ścisła (np. chemia, astronomja) znalazły w nim swego piewcę — waży on dobro i zło i nie wpada w żadną ostateczność, postęp społeczny opiera na postępie psychologicznym, którego zasadę uznaje w altruizmie.

Prócz omówionych, znakomicie nakreślonych sylwetek w szkicu „Symbolizm" zastanawia się autor nad satanistami, symbolistami (Mallarmé) i impresjonistami (Verlaine) — wykazuje co nowego i dobrego przyniosły te prądy, nie przeocza jednakże zbytnich jaskrawości i przesady niektórych poetów należących do tych „szkół".

Dwa ostatnie szkice „Modemizm" i „Dusza Paryża" mniejszą posiadają wartość.

W pierwszym określa Lange „modemizm" jako sztukę „dnia dzisiejszego, nie malującą w człowieku tego co jest stałem, ale to chwilowe, szczegółowe, czego już jutro nie będzie" — w artykuliku „Dusza Paryża", pragnie wykazać że Paryż stoi zawsze na czele ruchu umysłowego.

Jako niepośledni poeta i znakomity tłómacz ozdobił Lange swe „Studja" całym szeregiem przekładów utworów, co pozwala każdemu wniknąć w istotę najnowszej poezji francuskiej.... i sprostować mylne pojęcia tyczące się tej kwestji.

Zdzisław Art.

Wiadomości bibljograficzne.

Czytelnia Polska VII. *Sewer* Szkice z Anglji. Część pierwsza 1898.

„*Przegląd Filozoficzny.*" Rok I. Zeszyt 2. (Styczeń, luty i marzec). Warszawa. 1898. (Treść: I. „Myślenie logiczne a kojarzenie wyobrażeń" p. dra Władysława Biegańskiego. — II. O „Terminologii psychologicznej", p. Józefa K. Potockiego. — III. „Racjonalizm w teorji poznania Kanta." p. Dra Marjana Massoniusa. — IV. „Dwulicowy charakter postrzeżeń." p. Edwarda Abramowskiego. — V. „Autoreferaty," p. prof. dra Henryka Struvego i prof. dra Kazimierza Twardowskiego. — VI. „Krytyka i sprawozdania," p. Adama Mahrburga, E. Abramowskiego, J. K. Potockiego i Ludwikę Karpińską. — VII. „Kronika," p. Jana Lorentowicza. — VIII. „Przegląd czasopism," p. dra Henryka Hoyera, Reginę Maliniakównę i dra N. Massoniusa. — IX. „Polemika," p. dra K. Twardowskiego, A. Mahrburga i Zygmunta Herynga. — X. „Notatki," p. Władysława Weryhę i A. Mahrburga. — XI. „Wiadomości bieżące." — XII. „Bibliografia)."

Umiński W. Cuda przemysłu. Ważniejsze dzieła pracy ludzkiej w elementarnym zarysie. Z 33 rysunkami w tekście. Warszawa.

W przystępnem a treściwem opowiadaniu p. U. przebiega dzieje wysiłków umysłu ludzkiego w dziedzinie odkryć i wynalazków, począwszy od mieszkań nawodnych i jaskiniowych, aż do arcydzieł architektury i mostów wiszących; od narzędzi kamiennych do bogatego królestwa pary i elektryczności.

Praca p. Umińskiego stanowić będzie miłą pożyteczną rozrywkę dla umysłów młodocianych.

Drukiem K. Wiesnera we Lwowie.